

Józef Czarnecki

ul. Żabia 18 m 21.

Białystok 15-023

Nazywam się Józef Czarnecki. Jestem byłym Sybirakiem. Snując wspomnienia jestem teraz w dość kłopotliwej sytuacji ze względu na to, że od tamtych zdarzeń minęło wiele lat. Same wspomnienia nie są wcale miłe, jakoś szczypią za gardło. Nie mniej jednak postaram się powiedzieć pokrótce na temat, jaki to człowiek człowiekowi zgotował los.

Pani Nałkowska, badając zbrodnie hitlerowskie - po wojnie był powołany specjalny komitet do badania zbrodni - napisała w "Medalionach", że "człowiek człowiekowi zgotował" taki los. Ale pani Nałkowska miała w tym wypadku zbrodnie hitlerowskie, te straszliwe fabryki śmierci, umiejscowione nie tylko na ziemiach polskich. Ale ja ze swej strony chcę stanowczo powiedzieć, że nie dotyczy to tylko hitlerowców. Dotyczy to także bolszewików i ich wodza okrutnego, mordercę takiego samego jak Hitler, a może czy nie bardziej jeszcze okrutnego - Stalina.

Byłem na Syberii. Zamierzam za chwilę opowiedzieć, jak to się stało. Ogólnie można powiedzieć, że tam było bardzo trudno żyć, ale też i nie można było umrzeć. To drugie byłoby może lepszym wyjściem, jak to niejednokrotnie sugerowała moja matka w chwilach szczególnego załamania, rozterki i rozpacz. Mówiła wprost, że lepiej już chyba będzie tam się położyć i uwolnić się od cierpień.

Opowiem teraz, jak to się zaczęło. Mój ojciec - Henryk - pochodził z bardzo biednej rodziny. w miejscowości Nowiny

Kasjerskie / były powiat białostocki / był robotnikiem leśnym. Przed wojną skończył szkoły / w tym jakąś szkołę leśną / i został gajowym właśnie w Nowinach Kasjerskich. Prosperował dobrze. Bardzo kochał swoją pracę i swój las. Wśród miejscowych uchodził za człowieka bardzo wymagającego urzędnika państwowego. Był uosobieniem stabilności prawa - z ojcem jako gajowym nie można było "załatwić" sosny czy czegoś innego przez "butelkę", znajomość czy coś podobnego. O tym nawet nie było mowy. Za swoją postawę w roku 1939-tym miał zostać - tak się już głośno mówiło - leśniczym.

I wówczas przyszła wojna. Siedemnastego września rozpoczęto rozbiór Polski. Nasze tereny zostały zabrane przez Rosjan. Działania wojenne zakończyły się.

Ale już w końcu września i następnie jesienią zaczęły chodzić słuchy, że coś nie jest tak na terenach zajętych przez bolszewików. Zaczęli pojawiać się NKWD-yści. Zachowywali się nietypowo. Próbowali przeprowadzać wywiady nawet w Nowinach Kasjerskich, wsi zapadłej, otoczonej ze wszystkich stron lasami. Jak mi mama mówiła, doszło nawet do bezpośredniej rozmowy ich z ojcem. Rozmawiali w lesie, bo ojca - gdy przyszli - nie zastali w domu. Był w lesie i mama powiedziała im dokładnie, w którym miejscu. Tam, w lesie, w czasie tej rozmowy nabywano ojca pytając o ludzi, o ich charakter, pytano o nazwiska, i tak dalej.

Ojciec nie wskazał żadnych nazwisk, bo wszyscy bali się Sowietów. Dla ludzi dorosłych w tamtym okresie nie było najmniejszych wątpliwości, że nastąpił zabór. Nikt nie wierzył w opinie NKWD-ystów którzy twierdzili, że niedługo mogą tu przyjść Niemcy, że wymordują rodzinę, że wszystko zabiorą, a

jeśli nie wymordują, to w najlepszym wypadku wywiozą do obozu. W obawie przed tym, w atmosferze powszechnej niepewności ojciec bardzo często przebywał poza domem, z reguły nie nocował w domu.

Ale my pamiętamy luty 1940-go roku. Pamiętamy też, jaka to była okrutna i sroga zima, w czasie której dłuższe przebywanie w lesie było niemalże niemożliwe. Ojciec w tym czasie akurat był w domu. Była noc. Przyszli o trzeciej nad ranem. W pewnej chwili rodzice posłyszeli, że ktoś dobija się do drzwi do sionki. Dobijano się mocno i po polsku domagano się otwarcia mieszkania. Do sieni wyszła mama i zapytała: kto to? Odpowiedziano, że swój, że sąsiad. Ale matka знаła sąsiadów, wiedziała, kto nas odwiedza i znała po głosie. A tym razem głos był zupełnie obcy.

Najbardziej zagadkowe w tej sprawie było to, że ten ktoś, kto podawał się za sąsiada przychodził o godzinie trzeciej nad ranem. Wówczas mama zwróciła się do ojca:

- ojciec - bo tak mama zawsze zwracała się do ojca - ktoś przyszedł do nas i nie chce powiedzieć, kim jest.

Ojciec wyszedł do sieni o o czymś rozmawiał przez drzwi. Kiedy powrócił - powiedział:

- matka, nam już koniec.

W nerwowej atmosferze matka powiedziała do ojca, aby uciekał. Ojciec doskonale czuł, że czeka nas coś bardzo niedobrego i nie namyślając się długo wyskoczył z mieszkania przez okno na podwórko. Wyskoczył i wpadł dosłownie w ramiona żołnierzy rosyjskich i NKWD-ystów, bo nasza gajówka była dokładnie obstawiona.

Jak się znacznie później dowiedzieliśmy, Rosjanie wcześniej



wyraźnie przygotowywali się do podobnych akcji. Prowadzili pertraktacje z wójtem nakazując mu wskazanie gospodarza, który ma dobrego konia i dobre sanie. Do czego owe konie i sanie były potrzebne, wkrótce miało się okazać.

Ojciec, gdy wyskoczył z domu przez okno na podwórko, natychmiast został ujęty. Żołnierze rosyjscy podprowadzili go pod drzwi. Ojciec zawołał do mamy, żeby otworzyła drzwi i mama - nie mając w zasadzie innego wyjścia - otworzyła, bo drzwi były zaryglowane od środka.

Gdy drzwi zostały otwarte, do mieszkania weszło czterech Rosjan i zaczęło sprawdzać, kto jest w mieszkaniu. Tu muszę podkreślić, że nasza rodzina wówczas składała się z dziesięciorga osób: matka, ojciec i nas ośmioro rodzeństwa. Rodzice mieli sześciu synów i dwie córki. Ja byłem wówczas najmłodszy i miałem pięciu braci i dwie siostry. W chwili owego nocnego najścia miałem dwa lata i pięć miesięcy. I jak się miało okazać, ja w tym wieku również byłem wrogiem i przestępcą. Oto, co może zrobić "polityk", który liczy sobie dwa lata i pięć miesięcy.

Po sprawdzeniu okazało się, że wszystko się zgadza z tym, co Rosjanie mieli napisane.

I wówczas usłyszeliśmy to, co było najstraszniejsze, bo kazano nam się pakować. Na ten cel przewidziano nam pół godziny. Tylko trzydzieści minut przewidziano nam na spakowanie wszystkich, najniezbędniejszych rzeczy. Przez cały czas ponaglano przypominając, że dalsze pozostawanie w tym domu grozi naszej rodzinie poważnym niebezpieczeństwem. Przy tej okazji "brano nas pod włos". Twierdzono bowiem, że to niebezpieczeństwo grozi przede wszystkim ludziom wykształconym i

światłym, jednym słowem takim jak nasza rodzina. Niebezpieczeństwo to grozi przede wszystkim gajowym, lesnikom, nauczycielom, urzędnikom, wójtom i tp. Chodziło im o inteligencję. Oni nas muszą wywieźć w bezpieczne miejsce, bo tu nam grozi poważne niebezpieczeństwo. Przecież lada dzień przyjdą tu hitlerowcy i wszystkich nas wymordują, a całe nasze domostwo spalą, bo to normalne w ich zbrodniczej praktyce. Nie ujdziemy z życiem.

- Mieszkacie tu w lesie i nic nie wiecie, co się dzieje obecnie na świecie - mówili z udawaną troską w głosie.

W operacji aresztowania nas - wedle opowiadań mamy - było ich chyba z sześciu. Jeden z nich mówił po polsku, chociaż była to łamana polszczyzna. Występował tu w roli tłumacza, bo pozostali mówili tylko po rosyjsku. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny z nasadzonymi na nie bagnietami i drewnianymi kolbami.

Mieliśmy być gotowi do drogi w ciągu trzydziestu minut. Nasz bagaż nie mógł przekraczać czterdziestu kilogramów. Na to składały się: pościel, odzież, jedzenie - to wszystko miało zmieścić się w czterdziestu kilogramach. Kategoriecznie zabraniano nam zabierania jakiegokolwiek sprzętu.

W tych warunkach doszło do zajadłych sporów. Tu muszę dodać, że moja mama była akurat w ciąży z dziewiątym dzieckiem. Był to szósty miesiąc ciąży. Kiedy zajechaliśmy później na Syberię, to w niespełna trzy miesiące urodziła się siostra, którą nazwaliśmy Basią.

Jak widać, jestem z bardzo wielodzietnej rodziny. Ale nie należy domniemywać, że skoro nas było tak dużo, że w naszym domu była bieda. Ojciec był gajowym, ponadto mieliśmy niewiel-

ki kawałek ziemi. Wapierając się gospodarstwem, radziliśmy sobie dość dobrze tym bardziej, że ojca stanowisko było dość dobrze płatne. Jako tako można było żyć. Jak mówiła moja matka / już nie żyje/, po stokroć, bez porównania było lepiej przed wojną / sto razy to za mało, co tam synku porównywać/, niż przez dziesięć, piętnaście czy dwadzieścia lat po wojnie nie mówiąc o sytuacji, kiedy myśmy wrócili do kraju. Być może była to inna mentalność i inne widzenie spraw w czasach przedwojennych, być może. Ale było inaczej: inne widzenie rzeczywistości, inna wiara / w przyszłość/. Mówiło się, że co "Bóg dał to ksiądz ochrzczi". Osobiście bardzo się cieszę, że było nas tyle trodzeństwa, ale niestety, nie wszyscy dzisiaj żyją.

Wracam do naszego aresztowania. Matka, kobieta energiczna uparcie broniła się przed wywózką, że w naszej sytuacji nie może być mowy o wyjeździe. Kiedy w pewnym momencie żołnierze zaczęli wyrzucać przez okno na śniego do ogródka rzeczy pierzyny, kołdry, poduszki, a nawet kwiaty z doniczki, matka nie wytrzymała nerwowo i rzuciła się nieprzytomnie na jednego z nich. Skoczył do niego z pięściami. Przypominam, że w tym czasie była w szóstym miesiącu ciąży, a więc ciąża była widoczna.

Niesamowita była odpowiedź owego żołnierza: jeden z tych kacapów tę ciężarną kobietę, matkę takiej gromady dzieci uderzył kolbą karabinu w głowę tak mocno, że rozciął skórę. Mama nie żyje już czwarty rok, ale do śmierci miała bliznę po tym uderzeniu. Matka zakrwawiona upadła.

W tym czasie ojciec nic się nie odzywał. Był jak kamień, stał zupełnie nieruchomy. A mama zakrwawiona pojechała na Sy-



berię.

Gdyby spróbować podsumować metody stosowane przy aresztowaniu, należy powiedzieć, że zabierano ludzi w nocy. Było to na oczach wystraszonych, bezbronnych dzieci, prawie półnago. Wyprowadzono nas z domu i załadowano na sanie w słońce. Mama i najstarsi bracia brali kołdrę, poduszkę, pierzynę, nieco sprzętu gospodarstwa domowego, jakieś talerze i miski. Wzięto też trochę odzieży. Zabrano też w ostatniej chwili trochę szynki wędzonej, nieco słoniny, jakieś gnaty do jedzenia, kasza i trochę mąki.

Konwojujący nas żołnierzy twierdzili, że to wcale nie będzie nam potrzebne. Nie należy tego brać, bo tam, gdzie my jedziemy jest "charaszo":

- Zajedziecie w bezpieczne miejsce. Podróż nie będzie trwała długo. My was musimy koniecznie stąd wysiedlić, bo tu grozi wam wielkie niebezpieczeństwo - i tak w kółko to powtarzali.

W pisku, w atmosferze przygnębienia i jęku, bezgranicznej rozpacz, w płaczu i w bezlitosnym postępowaniu ze strony żołnierzy - nas bezbronnych - zabrali. Mieszkaliśmy na skraju wsi Nowiny Kasjerskie. Nikt ze wsi nie przyszedł nawet zobaczyć, co się z nami dzieje, tak wszyscy się bali bo dobrze wiedzieli, o co tu chodzi.

Zostawialiśmy cały nasz dom, w którym były trzy pokoje z kuchnią. W zasadzie całe wyposażenie domu zostało. Ponadto zostały - bo tego nie sposób było zabrać - klacz, trzy krowy, cztery świnia, kilka owiec, drób. W pobliżu naszego domostwa płynęła niewielka rzeczka, więc hodowaliśmy przy tej okazji indyki i kaczki. Były ponadto gęsi, kury oraz dwa psy. Jeden

z nich biegał "na drucie" a drugi biegał luzem. Już dziś nie pamiętam, jak się nazywały. Ten pies, który biegał wolno, zażarcie atakował naszych konwojentów i dlatego jeden z nich go zastrzelił na podwórku.

Kiedy nas zabierano, nie wiedzieliśmy dokładnie, dokąd jedziemy. Ale wkrótce okazało się, że jedziemy przez całą niemal Puszcę Knyszyńską do stacji kolejowej, która wówczas nazywała się Czarnowieś. Dzisiaj nazywa się Czarna Białostocka. Ta droga wynosiła ponad trzydzieści kilometrów. I tej jeszcze nocy zawieziono nas do tej stacji. Kiedy tam dotarliśmy okazało się, że nie wszystkie podstawione na ten cel wagony są zaludnione. Nadal trwało zwożenie ludzi, wyrwanych z domu tak jak i my.

Ten straszliwy pociąg ruszył dopiero jedenastego lutego, w godzinach popołudniowych czyli dopiero wówczas, gdy już wszystkie wagony były zapełnione. Oczywiście nie były to takie wagony, którymi my dzisiaj jeździmy. Były to wagony przystosowane /przewidziane/ do przewozu bydła. Zamykały się od zewnątrz na zasuwę. Nie było nawet mowy o tym, żeby ktoś otworzył drzwi czy uchylił okno. Okna w takich wagonach to były małe lufciki, umieszczone wysoko, pod samym sufitem, zakratowane od strony zewnętrznej.

Tu muszę powiedzieć, że będąc w szkole później, już po powrocie - pisałem wiersze. Są to różne wiersze. Jest ich w sumie chyba osiemdziesiąt cztery. Są to utwory sztubackie, bo pisałem je blisko czterdzieści lat temu, a nie teraz. Wybrałem ich kilka. Dotyczą one naszej podróży na Syberię oraz powrotu do Polski. Nie będzie w nich wiele ciekawego, bo cóż może napisać czernastoletni chłopiec? Dotyczą one spraw wy-



nikających z życia, dotyczą kwestii związanych z przyrodą, z pobytem w szkole. Są tu też pogłosy pierwszych miłości, ale w tym wypadku nie o to chodzi.

Zależy mi na tym, aby przeczytać pieśń zesłańca. Ważne tu jest to zastrzeżenie, że jest ona pisana i krąży wśród Sybiraków w różnych wersjach. Jest zmieniana, poprawiana. Jest to wynikiem tego, że z biegiem czasu ktoś coś dodał, a ktoś inny coś odjął. Chcę powiedzieć, że tam - gdzie nas zawieziono - tam właśnie ta pieśń powstała. Do tego tekstu napisano też i melodię. Odczytam to teraz. Nie jestem autorem tego tekstu, ale wiem, że niektóre poprawki wносиła moja najstarsza siostra, która z nas dzieci nie była najstarsza, ale trzecia "od góry". Pozostałe utwory są mojego autorstwa. Zamierzam je wykorzystać w dalszej części opowieści z zamiarem uzupełnienia, aby łatwiej było uwierzyć, że to co opowiadam - rzeczywiście się zdarzyło.

Natomiast pieśń zesłańca była na Syberii znana. Tam gdzie byłem, myśmy ją recytowali, a nawet śpiewali. Przy niej myśmy płakali i myśmy z prawdziwym bólem serca każdą strofę odczytywali.

Ojczyzno nasza, ziemię ukochaną  
w 1939-tym całą krwią zalaną  
Nie dość, że Polskę na pół rozerwali  
Jeszcze Polaków na Sybir wysłali.

Dziesiąty luty będziemy pamiętali  
Przyszli Sowieci, jak my jeszcze spali  
i nasze dzieci na sanie wsadzili  
na daleką stację nas powywozili

O, żegnaj Polsko, żegnaj chato miła  
żegnaj ty ziemio, która nas karmiła  
żegnaj słoneczko i gwiazdy złociste  
my odjeżdżamy z tej ziemi ojczystej

Cztery dni ziemią polską my jechali  
Chociaż ją tylko przez szpary widziały  
w piąty maszyna sowiecka przybyła  
i jakby sztyletem każdego przeszyła.

Mijają doby, mijają tygodnie  
raz na dzień chleba, wody, dzieci głodne  
mijamy Rosję i góry Uralu  
i tak jedziemy dalej, coraz dalej

Piątego marca maszyna stanęła  
i znów mordęga nowa się zaczęła  
jedziemy autem a potem saniami  
syberyjską tajgą, wzgórzami, rzekami

O smutna była nasza karawana  
kronkę nam chleba dają codziennie z rana  
dzieci już martwe wypadają z sani  
i już na zawsze żagnają się z nami.

O, polska ziemio, kirem owinięta  
gdzie twoje syny, córki, gdzie orłęta

dzisiaj w sybirską tajgę przyjechali  
czy ciebie będziem kiedy oglądali?

Słoneczko złote smutno nas witało  
Do baraków rano zaglądało  
szeregi trumien gałązką ubrane  
nad nimi klęczą matki zapłakane

Zima, mróz srogi, w lesie praca ciężka  
Głód i tęsknota, w sercu boleść, klęska  
Tyfus, gruźlica wśród ludzi się szerzą  
I codzien pod brzozą nowe trupy leżą.

Choć przyszła wiosna, słońce zajaśniało  
lecz to słoneczko nie rozweselało  
tylko po lesie kwili głos ptaszyny  
O Jezu Chryste, w Ogrójcu jedyny

Królowo Polski, zlituj się nad nami  
nad polską ziemią i nad wygnańcami  
powrót nas, powrót - na łono ojczyznie  
Królowo Polski, Panienko Przeczysta

Tak to w tej pieśni zesłańca, w ogromnym skrocie są za-  
sygnalizowane niektóre rzeczy. Jeśli zaś chodzi o podróż,  
jest tu wzmianka, że dzieci umierały. Tak było rzeczywiście.  
Wiem o tym, że nie wszyscy, którzy na początku zostali zała-



dowani do wagonów - dotarli na miejsce przeznaczenia. Wielu tam nie dojechało. Nie mówię już o drodze powrotnej, bo bardzo wielu powrotu nie doczekało. Po drodze, gdzieś w odkosach w jakichś jamach są "pogrzebani", bo nikt tam trupów nie wiozł.

Dokąd nas zawieźli? Tam się chyba już w ogóle kończy Syberia i tajga. Jest to Irkuckaja obłast, Tajszeckij rejon, pasiołek Kwitok. Być może była tam jakaś polanka, bo resztę stanowiła tajga, częściowo wykarczowana. I na tym bezludziu, wśród tajgi, w miejscu bardzo podmokłym, bardzo podmokłym, tam nawet były trzęsawiska. Na takim gruncie zostały wybudowane baraki.

Baraki były parterowe. W takim jednym baraku mieściło się czterdzieści rodzin. Przez środek budynku przebiegał korytarz, a po jego lewej i prawej stronie mieściły się tak zwane kajuty, czyli pokoiki. Liczyły one średnio około szesnastu metrów kwadratowych. W takim pokoiku mieszkała rodzina, jeśli to była rodzina liczna. Jeśli natomiast były to rodziny nieliczne, to w takim pokoiku k lokowano po dwie, a nawet i trzy rodziny.

W baraku było - jak mówiłem czterdzieści rodzin. Na samym końcu baraku stał zbudowany piec. Zbudowany był z gliny i kamieni. Był z jednym tylko paleniskiem. Na jego wierzchu była płyta a właściwie dwie, zrobione z płaskownika, kawałka grubszej blachy.

Palenisko było jedno i musiało ono starczyć na cały barak, bo w całym pokoju nie było żadnego ogrzewania. To było wyraźnie zabronione. Na tym jednym palenisku wszystkie rodziny z baraku miały tu gotować sobie strawę. W rezultacie piec

w baraku palił się bez przerwy. Ileż to z tego powodu było nieporozumień: kto ma pierwszy gotować, jak palić w tym piecu, kto i ile przyniósł opału, bo o węglu nie było przecież mowy. Więc można było sobie wyobrazić, jak to było, bo nawet jak dwie czy trzy kucharki są to już nie tak.

Jeśli chodzi o pomieszczenia. To były to budynki lekkiej konstrukcji. Kiedy tam zajechaliśmy to była zima. Ojciec i matka szmatami i czym można było upychali te szpary. Potem jak była wiosna i śniegu nie było, to mchem. trzeba było to jakoś opatrzyć, zabezpieczyć przed wiatrem, przed mrozem, przed zimnem.

Ojciec to miał smykałkę do stolarki. Nawet w tej chwili stoi w łazience taboret zrobiony w 1937 roku, tam nie ma ani jednego gwoźdźca. To jest jedna moja pamiątka, zrobiona przez ojca. Myśmy trochę sprzętu odzyskaliśmy jak wróciliśmy. Już tam w tych Nowinach Kasjerskich. Bo niektórzy porozbierali to wszystko. Niektórzy się przyznali, niektórzy nie, co kto ma. Może to i nie istotne, co żeśmy odzyskali, ale to był szlabanę czy stół, kredens czy taki taboret. Jeśli chodzi o inwentarz, to nic, a gajówka została spalona. Z relacji ludzi wiem, że spalili Sowieci. Jak myśmy wrócili, to matka tam przecież poszła w to miejsce, żeby zobaczyć, co się stało, czy może ktoś coś da.

Ojciec pozbił takie "nary" do spania z desek, bo zaczął później pracować w tartaku przy wyrobie nart. dla wojska. Zrobił spanie szerokie na dole, żeby się bractwo mieściło, przecież nas było ośmioro. Połowę tego pomieszczenia zajmowała prycza. Zrobił kilka szczebelków, takie drabinki, żeby tam na górze spać w tych łachmanach i na dole.

Ojciec zaczął pracować w stolarni, gdzie te narty robiono, no i dwóch najstarszych braci. Jeden miał siedemnaście lat, a drugi niecałe szesnaście. Ale oni pracowali razem z ojcem i zarabiali trochę kopiejek, no i mieli przynajmniej kartki na to jedzenie. Tak to było.

Nie chcę mówić, co mogli przeżywać rodzice. My jako mali, chcieliśmy tylko jeść, bawić się i może tak nie przeżywaliliśmy. Potem dopiero .A co myśmy tam jedli? Był rok 1943. Powstała Dywizja Tadeusza Kościuszki, a potem Polacy, którzy byli wywiezieni na Syberię/ według relacji i dotychczasowej historii/ to się mówi, że Polacy gremialnie i masowo przystępowali na ochotnika do 1-ej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki i szli na front.

To nie jest prawdą.

To nie byli ochotnicy. Ja to powiem na przykładzie swego ojca. i dwóch braci. Otóż tak samo jak tutaj nas z Nowin Kasjerskich wzięli na te sanie, to tak samo ojca w nocy wzięli nie wiadomo dokąd, no ...wiadomo dokąd. To było nad ranem. Nie było żadnego zawiadomienia, żeby się tam stawić w tym wypadku. Słyszałem, że były takie zawiadomienia, żeby się tam stawili, tam rekrutowali do tego wojska. Tam działała Wanda Wasilewska, Czesław Lampe, Aleksander Zawadzki i inni ci działacze. Ale historia wie jak to było, nie warto o tym wspominać.

W każdym bądź razie tego ojca od tej gromady dzieci zabrano nam. na front. Jeszcze ojciec mnie niósł, pamiętam to jak dziś, bo mnie niósł na rękach i to kilka kilometrów i plecaki. Matka miała suchary i chyba te suchary były w tym plecaku i jakaś woda w manerce.

A zaraz w kilka miesięcy, już dorośli moi bracia. Jeden



nie miał jeszcze skończonych osiemnastu lat, a drugi siedemnastu—spotkał ich ten sam los. Więc matka została z piątką, bo jeszcze Basia nie umarła, a właściwie z czwórką. Ja, starszy brat ode mnie o półtora roku i dwie siostry. Można sobie wyobrazić, jak to się wszystko zmieniło. I tak było tragicznie, a teraz to matka dostawała po prostu obłądu. Rwała na sobie włosy, głową biła o ścianę, straszliwie przeklinała, na czym tylko świat stoi i ludzi i Stalina i Hitlera i Boga. Tak, bo wyjścia wogóle nie było, a co myśmy tam jedli w takiej sytuacji? Bo o tych mrozach to można wspomnieć, a można i nie, tylko powiem, że jeśli chodzi o ten okres letni, to on trwał niespełna cztery miesiące, ale jeśli chodzi o upały, to dochodziły do czterdziestu stopni. Ludzie padali jak "betki". Matka sama chorowała, nawet na zapalenie opon mózgowych. Ale jak przyjdzie zima. Ona była cicha bez huraganów, ale śnieżna do dwóch, trzech metrów śniegu napada, że nawet to wejście do tego baraku łopatomy robili tunele ludzie, żeby przejść, bo to równało się z dachem. A mrozy sięgały do czterdziestu stopni, bo tam może 60 km, może się trochę mylę, jest najzimniejszy punkt, jeśli chodzi o lądy w świecie. Bo tam mrozy dochodziły nawet do 60 stopni/Archangielsk mam na myśli/.

A my prawie już nadzy jesteśmy. Nie ma z czego szmatzyć, owijać nogi, bo te ubrania, które mieliśmy to były już takie na zawsze. I na dzień powszedni i święto, i na dzień, i na noc.

Ciekawe jak myśmy się tam ubierali, ale jeszcze ciekawiej, co myśmy tam jedli, że ja jeszcze żyję?

A jedliśmy wszystko. Podstawowym jedzeniem były jagody, grzyby, nacinaliśmy brzozy na wiosnę i ten sok piliśmy

Tam rosły potężne drzewa-cedry, myśmy nazywali je "kiedry", /chyba to z rosyjska/, one miały takie potężne szyszki, wielkości jaja gęsiego, tylko bardziej zaokrąglone. Rozpalaliśmy ognisko i wrzucaliśmy te szyszki i pod wpływem gorąca i żaru te łuski rozchodziły się, a tam pod tymi łuskami znajdowały się nasiona wielkości orzecha laskowego razem z łupiną. Pąki kwiatów. Modrzewi tam było duże. Więc kiedy te igiełki na wiosnę zielone są, to to jedliśmy. Sosny młode mają pędy, to też jedliśmy. A jeśli chodzi o mięso, nie wiem jakim to cudem, ale matka chodziła do tych autochtonów, to przynosiła gnat, piszczel jakiś koński, wątroba. Była zupa z tego, matka gulasz robiła z ziarnami jęczmienia albo pszenicy.

Tam wogóle psów nie było, ani kotów. Były jak tylko myśmy przyjechali, ale w miarę potem jakoś zginęły. Pan myśli, że z głodu czy z gorąca? Nie, ludzie wyłapali i to zjedli. A, że chorowali na gruźlicę i inne choroby, więc ten łój pili, tłuszcz, bo żadnej opieki lekarskiej, a zwłaszcza dla Polaków nie było.

Jak jeszcze ojciec był to matka przyniosła z tego Karolinka /<sup>16</sup> km- osada miejska, /królika. Ojciec w tym pomieszczeniu/pamiętam jak dzisiaj, bo zadaniem moim i brata było koniecznie zbierać, mleczak, itd./ Więc króliki hodowaliśmy. i matka zabijała te króliki i dbaliśmy o to, żeby one stale były.

Matka moja była bardzo przedsiębiorcza. Matka kradła, ale to nie u sąsiada, ani tam w ogrodzie. Tam były kłochy, więc matka wyrwała dwie deski z podłogi/pamiętam, myśmy tę ziemię wynosili w szmatach i rozsypywali, ten piach/ i wykopała piwniczkę, w tym naszym pokoju. I jak

trzeba było do piwnicy wejść, to dwie deski trzeba było odsuwać, ale żeby tam nie było mokro, to żwiru i kamieni na dno się narzucało. I matka była tak przedsiębiorcza, że sobie tylko znanym sposobem/wiem tylko, że to odbywało się nocą, wtedy, kiedy w kołchozach jest marchew, buraki, kapusta, ziemniaki/ zapełniała tę całą piwniczkę na zimę.

A poza tym -praca. Matka i te dwie siostry pracowały normalnie w kołchozie, w lesie. W kołchozie to przy żniwach, sierpem. Tam nie było żadnych kombajnów, żadnego innego sprzętu mechanicznego. Tam nie było żadnych koni, niczego do zbioru, więc -sierpem. W jedną stronę to się szło około 20 kilometrów przez tajgę. Cały dzień pracowały, rzucały to zboże, w miarę jak to zboże dojrzewało. A jaka zapłata? A no, można było sobie wziąć, jak to matka mówiła "masmor-gać", tych kłosów, pokazać temu co pilnował z dubeltówką i batem. I dlatego, że tam pracowaliśmy też mieliśmy kartki w tym koperatiwie -można było tam zaopatrywać się w ten kawałek chleba czarnego czy mąki, czy sacharyny. Także to była bardzo ciężka praca, niebezpieczna.

Tam grasowali również "dziadomcy" czyli dzieci, które były same, nie miały rodziców. Trudno to takie coś porównać do domów dziecka, czy do byłych domów młodzieżowych. To byli tacy półdzicy, nie chcę powiedzieć chuligani, bo to były biedne dzieci, którym było źle, a nie oni byli źli. Oni kradli, plądrowali nasze pomieszczenia, zabierali jedzenie gdzie kto co miał. Bójki były między nimi a nami. /tu poxx lewej stronie jeszcze mam szrańcę, to nie kamieniem było, a jakimś krzemieniem z ostrymi krawędziami/. To jeden z nich starszy, ja miałem wtedy sześć lat, uderzył mnie w głowę,



bo ja uczepiłem się jego i on zabierał w takich woreczkach jęczmień, a ja mu nie dawałem, to uderzył.

Te 16 kilometrów przyszło i mnie pokonywać sześciolatkowi i bratu o półtora roku starszemu i te dwie siostry matka zabierała do tego kołchozu. A kiedy zbliżała się noc, matka podprowadzała nas tak więcej niż trzy czwarte drogi, już tylko zostawało trochę, to myśmy całą czwórką szli, a matka zostawała w tej tajdze, bo nogi miała popuchnięte, żyłki przeszły w guzy. Ja nie zdążę jutro rano przyjść - mówi - w tę i we w tę. Bardzo często tak było, że nocowała w tej tajdze, po to, żeby być przodownicą, że najwięcej zeźnie. Jeszcze ciemno to już matka tam żęła, żeby jakoś zaskarbić sobie uznanie, że jak będzie odchodziła, żeby oko przymknęli. Bo jak odchodzi, to przecież tam ogromna meszka, słońce było nawet przyciemnione, gryzło to wszystko robactwo. Była w kalesonach ojca na tych trokach zawiązywanych, to "masmorga" tej pszenicy czyjowska to w te nogawki, to sznurkiem popasze sobie koszulę, pod spodem. To wtedy sobie narzuca - pod piersiami, na plecach. Toż sobie rękawy pozawiazuje i jak jest ciemno, i jak już weszła w komitwę jako stachanowka, to już matkiż nie obmacywali, chociaż wiedzieli, że sobie coś tam niesie.

Wrócę jeszcze do tego nieszczęsnego pieca. Matka nie bała się rosyjskich w mundurach. Mówiła na nich - kacapy, klóciła się wulgarnymi słowami wyzywała, jak przychodzili kontrolować. I tak zimno w ogóle jest, więc matka zdobyła się na taki koncept, nawet izmy glinę z rzeki wynosiliśmy i matka wybudowała taki piecyk. Przyniosła skądś takiej blachy na wierzch. I było tylko takie palenisko bez popielnika i jakąś rurę. Warto wspomnieć, tam była i auto-

chtonka. Ona wróciła z frontu i miała amputowaną rękę. To była przyjaciółka, często nas odwiedzała, to nieraz i tej koniny przynosiła, nieraz baraniny. Ale matka tam od niej przyniosła taką rurę i zrobiła ten piecyk tuż przy oknie. Okno - to były cztery takie kwadraciki, więc jedno to wybiła i rurę wyprowadziła na zewnątrz 20 cm i paliła drewnem w tym piecu. Mogliśmy się już nie pchać do tego ogólnego uroczyiska, tylko tu, ale dym wychodzi. To zauważono. Przyszli ci Rosjanie i matki wówczas nie było. Siostry najstarszej też nie było. Byłem tylko ja, Marysia i Mietek. I

-I co to jest takiego? Kto to zrobił? Że nie można. W końcu kopnął nogą ten piecyk i rozwalił to. Rurę wyrzucił i powiedział, że jak to się powtórzy, to nas wyrzucą z tego pokoju, bo my grozimy pożarem. I ktoby pomyślał, im zależało, żeby akurat ten cały barak z ludźmi się spalił. Więc tak ciemiężono ludzi. Nie pozwolono nawet na to.

Przecież myśmy pilnowali i matka. Każdy węgielek pilnowaliśmy. A matka jak wychodziła, to wodą zalewała, żeby nie było tragedii. Rozwalił ten piec i groził, że będzie kara i wyrzucenie z tego pomieszczenia jeśli to się powtórzy.

To taki mały epizodzik. Takich było tysiące. W każdy sposób starano się dokuczyć. Można dokuczyć komuś, pokrzyżować na niego czy coś takiego. Ale to było wyraźne znęcanie się/nas po prostu w ogóle tam nie traktowano jak ludzi, jeśli chodzi o administrację, nie powiem tego o autochtonach, bo oni mieli podobne życie. Na pewno mieli trochę lepiej, bo nie mieszkali w takich warunkach okrutnych/. Ale co z tego, jak tam byli sami starcy niedo-

łęźni, kobiety i dzieci, bo też ich mężczyzn pozabierali w Krasną Armię bez gadania.

W związku z tym, że to były tak okrutne warunki, że ta meszka, że ten teren taki malaryjny, a więc i choroby. My wszyscy chorowaliśmy na kurzą ślepotę, jak tylko zmrok, nikt nic nie widział. Gruźlica dziesiątkowała ludzi. Ja sam na przykład, wszyscy zresztą chorowali na koklusz, dyfteryt. Ktoś powie, a to dziecięce choroby, ale nie tak nagminnie. Tam nie było opieki i nie było na to rady.

Ja sam chorowałem na obustronne zapalenie płuc, ale to było już w 1944 roku, ale wtedy przetrzymaliśmy z "puru" z Anglii paczki żywnościowe i odzieżowe. Kilka takich dotarło, bo to były tam wykazy / z "unry"/. Wzięto mnie do szpitala/była tam bolnica/, zresztą mnie tam zanieśli, bo ja byłem najmłodszy i mnie wszyscy lubili, a zwłaszcza ojciec. /mówił zawsze-Matka pilnuj tego najmłodszego dzieciaka.

Prawie całą tę paczkę z tym suknem i swetrami matka musiała oddać lekarzowi rosyjskiemu, po to tylko, żeby moja najstarsza siostra przebywała ze mną w nocy, żeby mnie nosiła, pilnowała i usta moczyła wodą szmatką. Musiała to oddać. jako łapówkę. To jest wyłudzenie, zabranie tego.

A insekty. Myśmy nie mieli włosów na głowie, bo matka nas nożycami ciągle strzygła. A jeśli chodzi o dziewczyny, to też miały krótkie. A matka miała piękne włosy. To się włosy ruszały od wszów. I te odzieżowe były w każdym zakamarku, w każdym szwie, pluskwy, jakieś karaluchy, cholera wie co. Jak człowiek śpi, to mu spadało na głowę. Na to nie było żadnego sposobu, żeby to jakoś wyplenić.

Owszem, pamiętam, matka próbowała wyparzyć wodą, ukropem z czajnika. Czajnik był, bo go przywieźliśmy z Polski. Oble-



wała meble, które zrobił ojciec. Innym razem parzyła nasze ubrania.

Ciągle mieliśmy świerzb i niegojące się rany. W tym miejscu chcę powiedzieć, że chociaż nie prowadzono żadnych statystyk - przynajmniej nic o tym nie wiem - ale nas tym było co najmniej dziesięć tysięcy. Mówię o samych zesłańcach w Kwitku. Oczywiście byli tam nie tylko sami Polacy. Tam byli nawet - chociaż nie z nami razem - Japończycy. Pamiętam, bo sam bawiłem się z japońskimi dziećmi. Efektem tego była znajomość powiedzonek dzieciennych w języku rosyjskim i japońskim. Kiedy chwaliliśmy się tym w domu, nasza mama biła nas za to po buzi.

Zawsze przy tym mówiła: pamiętajcie, że jesteście Polakami. Nauczyła nas wiersza:

Kto ty jesteś,  
Polak mały.  
Jaki znak twój?  
Orzeł biały.

Matka w tym względzie była bardzo stanowcza. Nie pozwalała mówić po rosyjsku ani bawić się z miejscowymi dziećmi, ani z dziećmi japońskimi. Z nikim. Zwykle mówiła:

- Pamiętaj, że Polska została i ty do niej wrócisz. Ja tu zginę - a ty wrócisz. I tak mówiła do każdego z nas. To był taki "prikaz".

Ktoś, kto tego słucha gotów pomyśleć tak: kiedy on wróci, to miał już dziewięć lat. Powinien więc mówić świetnie po rosyjsku. Otóż to nie jest prawdą. Ja po rosyjsku nie umiałem mówić. Miałem tylko bierną znajomość tego języka, bo przecież przebywałem wśród rosyjskiej młodzieży i w ogóle

wśród Rosjan. Ten nieco dziwny fakt można różnorodnie interpretować. Po pierwsze świadczy o ogromnej wrogości moich rodziców, a zwłaszcza matki do bolszewizmu, do NKWD-ystów, którzy pozbawili nas wszystkiego. Oni pozbawili nas nawet człowieczeństwa, bo przecież człowiek nie może żyć tak, jak żyją dzikie zwierzęta. Dzikie zwierzę ma swój raj, którym jest tajga. Tajga jest jego ojczyzną. One tam są us siebie i tam mogą być: węże, wszelkie gadziny, brunatne niedźwiedzie wspinające się po drzewach, rysie, tygrysy. Tajga jest ich mieszkaniem.

Ale nagle do tego środowiska wrzucić ludzi? Efekt jest taki, jakby w ogrodzie zoologicznym pootwierać wszystkie klatki i wprowadzić tam wycieczkę. Takie porównanie przychodzi mi do głowy.

Przed tym wszystkim trzeba było bronić się. Należało wiedzieć, kiedy można pójść, kto i jak, to była zasadnicza trudność.

Wiele można powiedzieć o uroku tamtejszej przyrody. Nigdy i nigdzie nie widziałem tak pięknej przyrody, jak w syberyjskiej tajdze. Drzewostan wspaniały i piękne kwiaty to istny raj, to są ogrody rajskie, przez nikogo nie pielęgnowane. Tam nie było najmniejszej ingerencji człowieka w żadnym miejscu. Nie mam czasu rozwodzić się o glebie, która nigdy nie widziała żadnego nawozu sztucznego a warzywa rosną tam niespotykanie szybko, bo lato tam trwa niepełna cztery miesiące. Wszystko w tym czasie zdąży urosnąć i dojrzeć. Tam wszystko "samo" rośnie. Tam brak tylko jednego: głowy.

Tamtejsza przyroda nieco tonowała nasze cierpienia. Ja

nic nie zachowałem z tamtejszych okazów. Ale moja siostra, która mieszka w Nowym Aleksandrowie ma wiele tamtejszych roślin zasuszonych. Przyroda to wszystko i jedyne, co miłego można powiedzieć o Syberii.

Ale przecież NKWD-yści nie zrobili tej przyrody. Już wspomniałem o naszych chorobach. Otóż w miejscu, gdzie mieścił się nasz barak nr cztery - odległości około pięćdziesięciu metrów - ja to teraz jeszcze widzę - był niewielki spadek. W tym dole wiał się strumień. Wody w nim było niewiele - do kostek. W lecie tenże strumyczek wysychał. Nad tym strumykiem bawiliśmy się.

Kiedyś ojciec porobił nam niewielkie scyzoryki. Przy ich pomocy porobiliśmy z kory maleńkie kółeczki. Niewielkie patyczki były masztami. Maszty nieco rozszczepialiśmy i w to miejsce wkładaliśmy maleńkie kawałki tektury wziętej z opakowań. Ponieważ byliśmy z bratem jeszcze bardzo mali i nie umieliśmy pisać - przeto starsza siostra na tym kawałku tektury pisała wyraz "Polska".

Te stateczki puszczałyśmy na strumyk, bo wierzyliśmy, że ten strumyk płynie aż do Wisły. Wierzyliśmy, że nasz okręcik dopłynie do Wisły i tam ludzie przeczytają nasze słowo: "Polska".

Pisaliśmy też listy, które staraliśmy się wysyłać naszymi statkami. Były to bardzo krótkie listy: "Polsko, ratuj!". Albo inaczej: "Polsko, my jesteśmy tu".

Ileż myśmy tych okręcików wysłałyśmy. Czy one przypląnęły do Wisły? Przepłynęły na pewno. Może nie wodą, ale na pewno przypląnęły sercem. Bo w samej rzeczy: gdzie ten strumyk, gdzie ta Wisła? Ale myśmy mieli mocną nadzieję, myśmy



w to niezachwianie wierzyli.

Za tymże strumykiem było widoczne z daleka wzgórze. Na tym wzgórzu założono cmentarz. Tam grzebano naszych niechęśników. A teraz powiem coś, co jeśli ktoś przeczyta, to niechże zbada. Otóż stanowczo twierdę, że około trzech czwartych tych ludzi, którzy tam zajechali - w przeciągu sześciu lat i kilku miesięcy - zostali tam na zawsze. Zostali na cmentarzu.

Myśmy mówili "cmentarz pod brzózkami". Pogrzeby organizowaliśmy sami, poczynając od wykopania dołu. Sami też żegnaliśmy swoich. Robienie trumny nie było rzeczą prostą, bo tam gwoździ nie było. Posiłkowano się jakimś łykiem. Krzyżem były dwa patyki brzozowe, przewiązane ukośnie łykiem. Nie było żadnych napisów ani tabliczek. Groby sytuowano jeden przy drugim, a cmentarzysko było ogromne. Było to dwieście do trzystu metrów od miejsca, gdzie kończyły się obrzeża baraków.

Na tym cmentarzu została moja najmłodsza siostra - Basia. Został też ode mnie młodszy - bo między Basią a mną urodził się - Stefuś, mój brat. Został też mój starszy brat - Jerzyk. Ich oboje udusił dyfteryt, czy jak mówiono Koklusz. Basia zachorowała na zapalenie płuc. To przecież było małenstwo - miała wówczas zaledwie kilka miesięcy. I dla niej też nie było żadnego ratunku. W rezultacie z nas dziewięciorga zostało nas szescioro: ja, trzech braci i dwie siostry. To może dziwne: ja jestem najmłodszy, wkrótce minie pięćdziesiąt lat od mojego powrotu. Ale ta cała nasza szóstka żyje /rodzice oczywiście już nie/. Ojciec zginął na froncie, a mama zmarła przed kilkoma laty.

Tamtejszy cmentarz z pewnej odległości prawie niczym nie przypomina naszych cmentarzy. Tam nie było żadnych parkanów czy nawet zwykłego ogrodzenia. To było wzgórze, porośnięte wysoką trawą. Rosły tam brzozy, wysokie i małe. Były tam też krzaki i zarośla. Jeśli ktoś chciał pochować, musiał wykarczować odpowiednią powierzchnię.

Zaczęto grzebać od podnóża góry, wchodząc coraz wyżej, aż na drugą stronę. W miarę zwiększania się liczby pogrzebów, posuwano się w głąb chaszczy. Z wyglądu nie przypominało to naszych cmentarzy, na których my chowamy ludzi godziwie i godnie. Ale i tam myśmy też chowali swoich ludzi z naszych rodzin godnie: z Bogiem ich żegnaliśmy, po chrześcijańsku, chociaż nie było żadnego duchownego. Żadnego księdza. Ze spraw związanych z kultem mieliśmy jedynie książeczki do nabożeństwa, przywiezione ze sobą z Polski. Służyły nam one do odmawiania modlitw, chociaż w niektórych wypadkach trzeba było odmawiać modlitwy z pamięci, bo nie wszystko w książeczkach było.

Gdy zbliżały się święta - Dzień Zaduszny - to ludzie masowo odwiedzali groby. Ale praktyka życiowa była nieubлагana: tam codziennie trzeba było odwiedzać te groby. Nie wszyscy owe groby codziennie odwiedzali, ale tam codziennie trzeba było grzebać ludzi. Tam nie było dnia, żeby z naszej osady ktoś nie umarł.

Ogromną rolę w tamtych warunkach by odgrywała zwykła, życiowa zaradność. Wspominałem już o kradzieży. Ja tego nie uważałem za kradzież. Tam ten, kto nie umiał sobie radzić czyli nie był życiowo zaradny, przedsiębiorczy, a wyrazem tego była na przykład umiejętność oszukania kogoś, czy ukraść,

ten nie miał szans na przeżycie. Tak umierały całe rodziny. Być może tam ktoś został, gdy był chory w czasie, kiedy my wyjeżdżaliśmy. Tak było, gdy ktoś był obłożnie chory a rodzina nie mogła go nieść. I co się z nimi stało, tego nikt nie wie. Takie wypadki były.

Pamiętam taką panią, na którą nazywano pani Hanka. Ona była sama i obłożnie chora. Więcej na ten temat mogłaby powiedzieć moja siostra. Ponieważ ona leżała, nikt z jej nie wziął i ona została w tym baraku, w kajucie. Bo jej nie można było nieść, bo i gdzie?

Tu nasuwa się smutna analogia. Gdyby tak kogoś wywożona, a należało zostawić chorego psa. Wówczas gospodarz, aby rozwiązać sprawę, zastrzeliby to zwierzę. A tego człowieka po prostu zostawiono. I nie mogę powiedzieć, co się stało z tą panią. Ale mogę powiedzieć, że tam po nas zostało ogromne cmentarzysko z białymi brzoškami, które widzę jeszcze dziś. Wielokrotnie przeżywałem to po powrocie. To są straszne wspomnienia, że niech Bóg broni. Tego się nie da w ogóle opowiedzieć. Tam trzeba być i to niekoniecznie, tak jak ja - sześć lat. Tam wystarczy być tylko sześć tygodni, no - sześć miesięcy. To wystarczy, żeby mieć przybliżony obraz tamtej rzeczywistości, nawet i dziś.

Ale czy tam dziś jest chociaż jakiś krzyżyk? Bardzo w to wątpię.

Grzebanie nie było zbyt ciężkim przedsięwzięciem na wiosnę, chociaż tam wiosna to dopiero w maju. Ale daleko gorzej było w zimie. Deski były przypinane do butów sznurkiem lub jakimś rzemieniem. Tam bowiem chodziło się po śniegu, który był mocno zamarznęty. Warstwa śniegi wynosiła



dwa i więcej metrów. W późniejszym czasie nie nosiliśmy już butów, bo przywiezione z Polski już się zniszczyły. Nogi owijaliśmy szmatami lub słomą. Jeśli w takim śniegu ktoś zapadł się, to już i tam zostawał. I takie wypadki były częste. Wielu ludzi, którzy wyruszyli do Karolinka, nie wróciło. Bywało, że matka poszła i zginęła, a dzieci zostawały już sierotami, którymi zajmowali się inni.

Tam była solidarność i to nie w naszym obecnym rozumieniu - partii politycznej. Była to solidarność ludzka, z serca, że obcy ludzie opiekowali się tymi dziećmi. Ileż to razy - tu posłużę się konkretnym nazwiskiem Kredkowskich, chodzi o braci Mietka i Mariana - ich matka zginęła wraz z ich siostrą, Maryncią. Pamiętam, że wielokrotnie jedli u nas, jedli u innych, bo te dzieci zostały same. W tym czasie ich ojciec - pan Kredkowski - był na froncie. Poszedł razem z naszym ojcem.

W podobnej sytuacji była też rodzina Bogdanowiczów. To była bardzo biedna rodzina. Z tej, dziewięcioosobowej rodziny powrócił tylko Staszek. Wracał do Polski w naszym wagonie, pamiętam to dobrze. Ich ojciec poszedł na front. Jego dwóch braci starszych - również. I nie wiadomo dokładnie, co się z nimi stało. Został tylko on jeden. A czworo rodzeństwa tam zostało. Nie mieli co jeść i zostali na cmentarzu. Bo cóż mógł zrobić ten chłopak sam.

Groźne były dla nas tamtejsze burze, które powstawały nie wiadomo kiedy. Chodzi tu o słynne syberyjskie "Buriany". Podmuchy wiatru bywały tak silne, że niejednokrotnie zrywały całe dachy z chat. To trzeba było szybko reperować. Dokuczliwe były tamtejsze deszcze, ogromne ulewy, po któ-

rych w kilka minut świeciło słońce, zaczynał się upał, że trudno było oddychać.

Takie to było nasze życie: okrutne i smutne.

Ojciec z frontu przysyłał do nas kartki. Tych kartek w rodzinie mamy cztery. Posiada je moja siostra w Nowym Aleksandrowie. To były kartki, na których odwrocie ojciec pisał z frontu. A więc "Kochana Rodzinko. Czuję się dobrze, jestem żywy i zdrowy. Kochajcie się. Całuję was wszystkich i pozdrawiam. Ojciec". Pisał w tym sensie. Już niedługo wrócę. Kochane dzieci - pisał innym razem - słuchajcie mamy. A ty matka - pisze - kochana moja żono, pilnuj dzieci gdy wrócisz do Polski. A wrócisz tam już niedługo. A jeśli mnie zabraknie - nie ǳaj Boże - to ty ucz dzieci.

Ta ostatnia wskazówka była bardzo cenna. Ojciec słusznie to podkreślał. Ja przecież nie pochodzę z roli ani z jakiegó bogatej rodziny. Nikogo nie mam na wsi p<sup>o</sup>za siostrą, która wyszła za mąż na wieś.

Ojciec zawsze chciał, żebyśmy się uczyli. Wszystkiego ojciec nie mógł napisać, bo to były karty odkryte, adresowane po rosyjsku, a ojciec nie znał języka rosyjskiego. Natomiast treść kartki na odwrocie była pisana po polsku, przez ojca.

Teraz chciałbym już przeczytać mój wierszyk. Pisał go chłopak czetrnasto - piętnastoletni. Tak więc będzie blisko czterdzieści lat od czasu, gdy go napisałem. To było gdzieś koło roku 1952-go, może trzeciego. Sam wiersz może budzić wesołość, bo ja pisząc go bardzo dbałem o to, aby zachować te rymy "częstochowskie". Tu nie ma mowy o literaturze, znastwie przedmiotu. Zanotowałem myśli, które chodzi-

ły mi wówczas po głowie. Byłem wówczas chyba w pierwszej klasie szkoły średniej. W tym czasie młodym ludziom przydodzą do głowy takie pomysły. A ja wówczas ciągle żyłem wspomnieniami z Syberii, przeżyciami stamtąd.

Dodatkowym bodźcem do pisania był fakt, że w owym czasie nie mogłem z nikim się podzielić swoimi przeżyciami. Wówczas nie wolno było o tym nawet wspominać. Tego wyrażnie zabraniała mi matka, a/le wiemy też, jaka wówczas była sytuacja w kraju.

Kilkakrotnie pisałem życiorysy urzędowe, bo były kilkakrotnie potrzebne. Staralem się przecież o przyjęcie do Liceum, na studia i w inne miejsca. W żadnym z tych życiorysów nigdy nawet nie wspomniałem, że myśmy byli kiedykolwiek wywiezieni na Syberię. Przez tamte lata o tym nie można było mówić. Gdybym się na coś takiego odważył, to pewnie nie byłbym ani jednego dnia ani w tym ~~na~~ internacie ani w Liceum. Gdyby się dowiedziano, że byłem na Syberii, to natychmiast pytano by mnie, jak tam było. Słusznie więc matka kategorycznie zabraniała mówić na ten temat: nie mogliśmy o tym ani "pisnąć".

Byłem wówczas dorastającym chłopcem, który to bardzo przeżywał. Ten wiersz pisałem wówczas tak "z serca". A dziś mam już pięćdziesiąt trzy lata. Nadal to przeżywam. Dziś odpisałem ten wiersz z brulionu. Znowu czułem się - jak wówczas - sierotą, tęskniłem za ojcem.

Przypomniałem sobie natychmiast moment, gdy mój ojciec odchodził do wojska. Niósł plecak orajmnie na piersiach. Ja przytuliłem się do niego i okraciem objąłem go nogami. Trzymałem ojca za szyję. Pamiętam, jak ojciec płakał.



Wscena często przychodzi mi na myśl. Byłem bardzo smutny wówczas, chociaż z natury byłem chłopcem wesółym. Ale i smutne chwile też przeżywałem.

- Odechodził żołnierz na wojnę  
opuszczał, żegnając rodzinę,  
żegnały go dzieci spokojne  
rzekł: wrócę, jeśli nie zginę.

I poszedł na front, na bój  
i szedł z nieugiętym karkiem  
dokuczał mu głód i znój  
dnem, nocą, wieczorem i rankiem.

I listy pisał z boju  
do żony, dzieci, rodziny  
że nie ma tutaj spokoju,  
że tylko zgroza, bomby i miny.

Uczcie się kochane dziatki,  
ja, ojciec do was piszę  
niedługo już wrócę do chatki  
już uśmiech i oddech widzę i słyszę.

- tu powinienem napisać "wasz uśmiech i oddech widzę  
i słyszę. Ale teraz nic już nie będę poprawiać./

Walczę o wolność Warszawy  
o szczęście dla was, dzieci

W ostatnie zwrotce wypadł mi jeden wiersz. To chyba stało się przy przepisywaniu.

Ten wiersz mówi, jak taki chłopak przeżywał fakt, że nie ma ojca. W moich wspomnieniach, jaki ten ojciec był wspaniały, jaki bohaterski. To właśnie dlatego taki czternasto - piętnastoletni chłopak mógł coś takiego napisać.

Pamiętam, że płakałem z powodu braku ojca. zwłaszcza w chwilach, gdy widziałem, że moi koledzy mieli oboje rodziców, a ja byłem poksierotą.

Wiersz ten napisałem w chwili jakiejś szczególnej gorczy. Dziś chłopcy w tym wieku grają zapamiętane w piłkę i oglądają telewizję czy chodzą na dyskoteki. A mój los był inny. A moje życie było inne, byłem przygnębiony. A to właśnie ta Syberia zabrała mi to dzieciństwo i uczyniła mnie nie takiego, jaki powinienem być. Oczywiście z biegiem czasu otrząsnąłem się bo nie będę twierdził, że moja rozpacz była aż tak bezgraniczna. Ale ten wiersz napisał, blisko czterdzieści lat temu, chłopak - Sybirak.

- Któż pojmie gniew sierocy  
lawiną z serca pałający  
nikt nie zna jego mocy  
i jego to ogień gorący

To serce krzywdą zranione  
łka i obficie łzy leje  
to serce we krwi zbroczone  
ogniem i bólem się śmieje.

Ty nie znasz doli sierocej  
ty nie zobaczysz w niej zła  
czarniejsza jest ona od nocy  
rozpacz jej nie zna dna.

Ty drwisz człowieku z doli  
która jest cierniem usłana  
ciebie ta rozpacz nie boli  
sieroca rozpacz kochana.

Ty krzywd nie umiesz znosić  
konać o zemstę wołając  
o krzyż, jak sierota prosić  
z rozpaczy świat żegnając.

Nie czyn mu grobu, gdy żyje  
nie wbijaj do krtani mu ości  
on gniew bezgraniczny kryje  
a krzywdę swą kiedyś pomści.

Coś takiego sobie kiedyś ułożyłem. Już dziś nie wiem,  
dlaczego ja to kiedyś napisałem. Jest pewne, że dziś bym  
tego nie napisał. Chyba próbowałem być wówczas jakimś po-  
etą.

Wracam do wątku związanego z naszym powrotem. Tam, na  
Syberii wiedzieliśmy, że wojna skończyła się w roku 1945.  
Wiedzieliśmy, że zakończyła się ona kapitulacją Niemiec



w dniu dziewiątego maja. Ileż z tym faktem wiązaliśmy wówczas nadziei. O tym fakcie dowiedzieliśmy się w jakiś czas później. Tego dnia zakończenia wojny nikt tam uroczyście nie obchodził. Ale my, Polacy, szaleliśmy z radości uważając, że przyszedł wreszcie czas, że pojedziemy do Polski.

Zresztą obiecano nam już wcześniej, że po zakończeniu wojny pojedziemy do Polski. A tu rok 1945-ty mija, a w naszej sprawie nic nowego. Mama już wcześniej rozpoczęła przygotowania do drogi. Suszyła chleb na suchary, które miały być nam na drogę. Było to tym łatwiejsze, że mama - od czasu otrzymania zawiadomienia o wyjeździe pracowała w kuchni jako pomoc kuchenna. Tam obierała ziemniaki, tam zmywała naczynia, zmywała podłogi i temu podobne. Wówczas to my z bratem biegaliśmy pod stołówkę. Tam nam matka wyrzucała przez okienko bliny. Mieliśmy już pod względem wyżywienia trochę lepiej. Dlatego też stąd właśnie mama wynosiła chleb który następnie suszyła na suchary.

Minął rok 1945-ty i nic się nie dzieje. Do naszych serc zaczął zakradać się niepokój, a następnie rezygnacja. Tyle mieliśmy nadziei w związku z wyjazdem. Co jakiś czas nie wiadomo skąd zaczynały krążyć rozmaite terminy naszego wyjazdu. Funkcjonowały owe wiadomości na zasadzie, że "ktoś słyszał". Z tego powodu radość była nieustanna. Ale też pojawiała się złość i poczucie niemocy, że nie można przyspieszyć naszego wyjazdu. Denerwowało nas głównie pytanie: dlaczego tu nadal jesteśmy, kiedy Polska już jest wolna? Przecież wiadomo, że wojna już zakończona. Dlaczego więc ta gehenna nadal trwa? Dlaczego my musimy żyjąc umierać? To już był kres wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Brako-

wało już nam konceptu na dalsze życie. Bardzo chcieliśmy wracać. Gotowi byliśmy iść do Polski piechotą. A do kraju było dwanaście tysięcy kilometrów. Ale poszlibyśmy, gdyby tylko było można.

Czekaliśmy nadal niecierpliwie. A pociąg nasz nadal nie przychodził.

Tam, na Syberii, ja w wieku pięciu lat umiałem czytać i pisać. A tam nie było przecież polskiej szkoły. Brakowało tam wszelkich przyborów do pisania: żadnej książki, żadnego ołówka i żadnego zeszytu. Może więc powstać słuszne pytanie: jak? Otóż tam byli z nami zesłani polscy nauczyciele. Były tam dorosłe nauczycielki, oczywiście wywiezione bez mężów. Do mężowie albo zostali w jakiś sposób w kraju albo zmobilizowani walczyli na froncie. One to właśnie nas uczyły. Pamięciowo.

Kiedy z nami na zesłaniu był nasz ojciec /pracował jakiś czas w stolarni/, to z wyschniętych, brzoźowych desek porobił deseczki, bardzo bielutkie. Były one starannie heblowane i miały grubość do trzech centymetrów. Miały format nieco większy niż normalny zeszyt. Pisało się grafitem, który nie był wprawdzie ołówkiem stolarskim, ale coś zbliżonego. Na jednej stronie robiło się kratki a na drugiej linie. Jedna zaś deseczka była zupełnie pusta. Tak więc jedna deseczka / w kratkę/ była przeznaczona jako "zeszyt" do matematyki, druga do języka polskiego, a trzecia do rysunków.

Mając takie trzy deseczki /zeszyty/ szło się do nauczycielki - oczywiście potajemnie - do jej mieszkania. Szło tam kilka osób i ostrożnie, żeby to nie wyszło na jaw. Tam przecież nie było polskiej szkoły - broń Boże. Tak się

zastanawiam: co by zrobiono z taką nauczycielką, gdyby władze dowiedziały się o jej działalności? Z historii znamy okres germanizacji i rusyfikacji. Wiemy, że to było w okresie zaborów, gdy istniały szkoły rosyjskie czy jakieś inne. A tam, na Syberii, nie wolno było krzewić żadnej kultury ani niczego. Nic nie można było robić jawnie, bo taki był "prikaz", "nie lzia" i koniec.

Myśmy pisali na deseczkach i te literki, i te cyferki. Nasze panie nie miały żadnych podręczników i uczyły nas z pamięci. Nie wiem, czy to był elementarz, ale uczyłem się wielu wierszyków. Nauczycielka pisała na desce takiej jak my, ale nieco większego formatu. Tam właśnie rysowała nam psa i Alę i kota i wszystkie inne rzeczy. Tam przecież nie było nic "pisanego" po polsku: ani polskich liter ani polskich książek ani niczego. Stąd nauczycielka musiała nam narysować i pokazać, jak wygląda polska litera pisana a jak drukowana.

Powiem tylko tyle, że ja umiałem czytać i pisać - nie będę się upierał, że biegle - po polsku. Kiedy więc siostra zapisze nam jakieś bajki, wierszyki czy jakieś piosenki, to ja się z tego uczyłem, bo siostra ładnie, kaligraficznie pisała. Ale ona miała już skończonych sześć klas w chwili, gdy nas z Polski wywożono. To mi bardzo pomagało w nauce. Już wówczas znałem <sup>teny</sup> podstawowe działania matematyczne: dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie w zakresie do stu. Podobnie było też u z moim bratem. Bo taką naszą nauczycielką "na codzien" była oczywiście nasza siostra. Jedna i druga siostra, bo one to już umiały z polskiej szkoły. W znacznej mierze byłem samoukiem. Kiedy wróciłem do Pol



ski, miałem wówczas osiem i pół roku. Tu, w Polsce matka za-  
instalowała nas do szkoły". Już po dwóch dniach pani Paw-  
łowicz - to była moja pierwsza nauczycielka w Polsce -  
to było w Kopisku - przyszła do mojej mamy i powiedzia-  
ła, że ona mnie nie będzie dłużej trzymać w pierwszej kla-  
sie. Ja go przeniosę do klasy drugiej. On już wszystko umie  
i w pierwszej klasie najzwyczajniej nie ma co robić. To był  
rok 1946-ty.

Minęły dwa następne tygodnie. Kiedyś w szkole pani Paw-  
łowicz powiedziała do mnie: powiedz swojej mamie, żeby przy-  
szła do szkoły. Kiedy powiedziałem o tym mamie, ta bardzo  
się zdenerwowała. Podejrzewała mnie o to, że bardzo narozra-  
białem. Bo ja byłem tak wychowany, że mi niczego nie było  
wolno. Nawet z jedzeniem - musiałem pytać. Tam, na Syberii,  
jedzenie u nas było wydzielone. Chodziło o to, że to co dziś  
się zje, to trzeba było pamiętać, że będzie jutro a nawet i  
pojutrze. Nigdy nie było pewności, czy się jutro zdobędzie  
jedzenie na następny dzień. Nigdy tam nie było tak, że mo-  
głem najeść się chleba tyle, żeby był syty. To było zupeł-  
nie wykluczone.

Jak wspominałem, mama przeraziła się bardzo, bo była wręcz  
przekonana, że coś nabroiłem. A gdy zaszła do szkoły, usły-  
szała od pani Pawłowicz: Pani Czarnecka, my tego Józia weź-  
miemy do trzeciej klasy.

I w taki sposób, w niespełna trzy tygodnie - przerobi-  
łem dwie klasy: pierwszą i drugą. W ten sposób - pomimo po-  
bytu na Syberii nie byłem spóźniony. Dalej szedłem już spo-  
kojnie: przez szkołę podstawową, zdałem maturę, a studia koń-  
czyłem korespondencyjnie, pracując. Na tradycyjne, stacjonar-  
ne studia nie było warunków

W marcu 1946-go roku poszła kolejna wiadomość, że będziemy odjeżdżali. Należało się spakować. Miały nasz bagaż - to pamiętam jak dziś - to była płachta, zawiązana czterema rogami na węzeł. I może coś jeszcze siostry miały w ręku. A cały nasz bagaż matka niosła na plecach. I to był nasz cały dobytek.

A ponadto byliśmy wszyscy zawszeni, zarobaczeni i ze świerzbem. W ten sposób wyglądał powrót. Zostawiliśmy nawet te meble, które wcześniej ojciec pozbił. Zostawiliśmy rupiecie i szmaty.

Kiedy zaczęła nadchodzić pomoc z za granicy /UNRA/, to mama sama wykrajała nam ubrania. Nawet szyła papucie z sukna. Siostra, która robiła na drutach, robiła nam skarpetki z nici.

Zarobkowaliśmy jako rodzina w inny jeszcze sposób. Otóż siostra z kartonu po pudełkach powycinała karty. Opisałiśmy to jako dwudziestoczerolistkowe karty. Mama chodziła do Kwitoku i do Karolinka i wróżyła. Jej klientkami były najczęściej miejscowe Rosjanki. One były bardzo ciekawe, jak się powodzi ich mężczyznom na froncie. Mama wszystkich starała się pocieszyć. Jej wszystkie wróżby wychodziły bardzo dobrze. Z tego mieliśmy wcale niezły dochód. Mama często przynosiła baraninę, kartofle. Bo miejscowi Rosjanie mieli znacznie lepiej niż my. Nami przecież nikt się nie interesował. Byliśmy rzućni jak ryba na lód, która nie może znaleźć przerebli.

Ojciec, jak już mówiłem - zginął dwudziestego czwartego sierpnia 1944-go roku. W czasie dywanowego nalotu samolotów niemieckich trafiła w transzeję bądź okop /jedna z bomb/. W tym miejscu był mój ojciec ze swoimi towarzyszami.

mi broni. Ale jakieś czterdzieści metrów dalej był mój najstarszy brat, Franciszek. On mieszka obecnie w Łomży, jest oficerem w stanie spoczynku. Efekt wybuchającej bomby był taki, że brat ledwie rozpoznał ciało ojca.

Wiem, gdzie ojciec został pochowany. Jest na to stosowny dokument. I na gwiazdkę w 1946-tym roku, tuż przed Bożym Narodzeniem /powinno być 1944- ty rok/ przyszedł list. Byliśmy bardzo ciekawi, co w tym liście jest napisane, bo długi czas nic nam nie pisał. Wreszcie przyniesiono kartkę, napisaną w języku rosyjskim. Mama narzekała, że już od pół roku nie ma wiadomości ani od Franusia ani od Zygmunia. Franciszek - jak się później okazało - przeszedł cały szlak od Lenino do Berlina. Był pięć razy ranny. Natomiast Zygmunt, który podobnie jak Franek, wstąpił do wojska jako nieletni - również wyruszył od Lenino w Pierwszej Dywizji, ale doszedł do Bydgoszczy. Tu został ranny po raz trzeci i to bardzo tragicznie. Wyjęto mu kulę spod serca i go zdemobilizowano w Bydgoszczy, jeszcze przed zakończeniem wojny. On, zdemobilizowany, dotarł do ciotki - siostry mojej matki - do Kopiska. Stąd pisał do nas Syberię, ale jak się dowiedzieliśmy po latach, nic nie dotarło. Z Syberii żadna wiadomość tu nie dotarła. Tu zresztą nikt nie wiedział, gdzie my jesteśmy. I tak było przez tyle lat. Tu już nas opłakano jako tych, którzy już nie żyją.

A my tam na Syberii też rozpaczaliśmy, że nas wszyscy się wyrzekli, skoło nie odpowiadają na nasze listy. Ciągłe nalegała na siostrę: pisz Janka. I napisaliśmy wiele listów i żaden, dosłownie żaden nie doszedł. Tych kartek było może dwieście, a może i tysiąc. Żadna nie dotarła tu, do Polski.



Prawdopodobnie te nasze przesyłki były niszczone przez pocztę.

A teraz wracam do kartki, którą otrzymaliśmy z frontu, po dłuższej przerwie. Mama, wyraźnie niespokojna powiedziała do siostry:

- Janka, czytaj.

Byliśmy nieco uspokojeni: skoro ojciec napisał, to znaczy, że ojciec żyje. Kartka była napisana w języku rosyjskim. Nieco wyprzedzając - powiem, że był to dokument śmierci. Siostra zaczęła czytać, znała rosyjski, bo chodziła tam do rosyjskiej szkoły przez dwa lata. Umiiała czytać biegle. A przed wojną skończyła sześć klas w szkole polskiej. Uczyla się rosyjskiego twierdząc, że język wroga trzeba znać. A po drugie - to nawet przymuszano do nauki w szkole rosyjskiej polskie dzieci. To było dobrze widziane przez sowieckie władze.

Tenne mogłyby być uwagi mojej siostry na temat treści historycznych, jakimi karmiono o Polakach w rosyjskiej szkole. I właśnie dlatego władze dobrze widziały uczęszczanie polskich dzieci do sowieckiej szkoły tym bardziej, że moja siostra była zdolna i czyniła wyraźne postępy.

Siostra zaczęła czytać pismo z frontu i nagle jej ręce zaczęły drżeć. Pamiętam, że w tym momencie moja matka trzymała mnie na rękach - miałem wówczas siedem lat. W pewnym momencie siostra zaczęła płakać: rzuciła to pismo, wzięła się za głowę i zaczęła płakać. Matka, widząc to, rzuciła mnie na ziemię i krzyknęła do siostry: czytaj. I nagle zaczęła strasznie przeklinać na siostrę. "Przeczytaj, ty taka nie taka, po co ja cię do szkoły posyłałam. Ja przecież nie umiem

czytać. Ja mam oczy zapuchnięte. Przeczytaj, bo to jest napisane po rosyjsku. Co tu jest napisane w ogóle. Przetłumacz, koniecznie przetłumacz.

Po jakimś czasie Janka powiedziała, że ojciec nie żyje. Doprawdy trudno sobie nawet wyobrazić, jakie piekło się zabiło w naszej rodzinie. Nasze pomieszczenie, w którym my mieszkaliśmy, natychmiast się zaludniło. Zbiegli się sąsiedzi: pani Kondracka - kochana kobieta, żona leśniczego. Od czasu otrzymania wiadomości o śmierci naszego ojca stale opiekowała się nami.

Matka zachowywała się w sposób wręcz niepoczytalny: rwała włosy na głowie, szalała, ciskała nami o ziemię. Wołała, że nas wszystkich pozazn<sup>aj</sup>yna i sama się powiesi. Nie widziała dla nas żadnego ratunku i nie widziała potrzeby powrotu do Polski. Skoro ojca nie ma, to matka sama z nami nie poradzi.

Atmosfera była straszna tym bardziej, że to udzielało się otoczeniu i nam, dzieciom. Ja to wszystko matce wybaczam. Bo wiem, ile ta kobieta przeszła i jak ona o nas dbała. Pracowała dniami i nocą i nie mogła zrozumieć: wszyscy dookoła mówią o bliskim zakończeniu wojny, a "on gdzieś wlaźł do jakiegoś okopu i czekał na tę bombę". I nikt nie mógł mamie wytłumaczyć, że to nie ojciec czekał na bombę lecz bomba jego znalazła.

Śmierć naszego ojca była dla nas wielkim wstrząsem. Istotne znaczenie dla sprawy była treść dokumentu śmierci, w którym było napisane / w tłumaczeniu/, że dnia takiego to a takiego Czarnecki Henryk... - i po polsku - cytat dosłowny: "okazał odwagę i męstwo i poległ w boju za socja-

listyczną rodzinę. I aż trudno to sobie wyobrazić, ale myślny byli - jak się teraz okazało - socjalistyczną rodziną. Zastanawiam się często nad tym: kto tak mógł formułować dokument śmierci? Taki dokument powinien być suchy i tylko informujący, a nie propagandowy, zawierający wręcz epitety. Bo co to znaczy "poległ w boju za socjalistyczną rodzinę"? I kto o taki socjaliźmie słyszał? Czy mój ojciec walczył za taki socjalizm, który wkrótce do nas przyszedł? Bo my przecież dobrze wiemy, jak było po wojnie.

Ten dokument śmierci w oryginale ma moja siostra. Ma też jego odbitkę na ksero podobnie, jak i inne dokumenty. Te dokumenty były jej potrzebne, bo ona starała się o rentę kombatanką.

Po śmierci ojca było nam na Syberii jakby trochę lżej. Ale co to znaczy lżej? Może na to wpłynął fakt, że mama zaczęła pracować w kuchni jako pomoc.

Wracam do naszego wyjazdu, kiedy to wzięliśmy nasz toboł. Podróż nasza trwała - ni mniej ni więcej - kiedy znaleźliśmy się w Warszawie - równo czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Podróżowaliśmy w świńskich wagonach zaryglowanych od zewnątrz. W każdym wagonie po obu stronach były zbudowane prycze. I na tych pryczach gnieździło się to ludzkie robactwo. Trzeba oczywiście dodać, że z nami podróżowały też insekty. I ludzie w łachmanach, schorowane istoty. Wyglądaliśmy tak, że trudno było poznać kogokolwiek. }

Kiedy wróciliśmy, moja matka miała czterdzieści trzy lata. Ale z wglądu można było powiedzieć, że jest to jakaś starszuszka z obozu koncentracyjnego, na której przeprowadzano Bóg wie jakie eksperymenty. Zastanawiano się: będzie żyć czy



nie. Te uwagi nie odnoszą się do nas - dzieci. Matka wszystk  
robiła, żeby nas oszczędzić. Stąd po powrocie trzymaliśmy  
się na nogach jako tako. Dzięki otrzymywanym paczkom byliś-  
my też jako tako ubrani.

Wagony nie były ogrzewane. Po obu stronach wagonu były  
niewielkie okienka o rozmiarach /podaję w przybliżeniu/  
trzydzieści na czterdzieści centymetrów. Było to jedyne  
źródło światła docierającego do wagonu. Oczywiście i te o-  
kienka były od zewnątrz okratowane. Okienka te były umiesz-  
czone wysoko nad podłogą. Ale w czasie podróży zajmowaliś-  
my górną pryczę i ja przez cały czas podróży gapiłem się  
na zewnątrz.

Transport, którym wracaliśmy do Polski składał się z  
dziewięćdziesięciu sześciu wagonów. Ciągnęły go dwie loko-  
motywy: jedna była na przedzie, a druga w środku składu. Co  
jakiś czas transport przystawał, bo koła pękały. Gdy zdarza-  
ła się taka awaria, to z trudem dojeżdżaliśmy /dopełzaliś-  
my/ do jakiejś miejscowości, aby tam dokonać naprawy. Stąd  
brały się postoje w czasie naszej podróży.

Jeśli chodzi o jedzenie, to na trasie były takie punkty-  
ulożone w większych miastach - na trasie od dalekiej Sy-  
berii przez Ural aż do Brześcia. Były to punkty odżywcze.  
Każda rodzina miała wiadro / oczywiście nie dano nam ich  
na Syberii; to było polskie wiadro, wzięte podczas wywózki/.  
Z takim wiadrem szło się po zupę. Nie będę się rozwodził na  
tym, jaka to była zupa, bo jest to rzecz niemal powszechnie  
znana. Były w niej to brukiew, to marchew to znowu buraki,  
czasem kilka ziemniaków. To wszystko razem było zamieszane.  
Nalewano nam ilość w zależności od tego, jak liczna była

rodzina...! tym celu mieliśmy kartki żywnościowe. Na każdą osobę nalewano jeden czerpak. Nie wiem, jaką pojemność miały te czerpaki. Kiedy my otrzymywaliśmy tę zupę na naszą, pięcioosobową rodzinę /nas, czworo dzieci i matka/, to w wiadrze było jakieś jedna trzecia pojemności. Do zupy dodawano po kromce chleba.

Ratowaliśmy się w inny sposób. Jeszcze z Syberii wzięliśmy w workach - które uszyła nasza mama z jakichś szmat - suchary. Był to suszony chleb. Mieliśmy też ze sobą wysuszone zboże. Pamiętam, że w czasie podróży jadłem wysuszoną pszenicę. Jadłem też jęczmień i owies. To był efekt zapobiegliwości naszej mamy, która w licznych torebeczkach ulokowała nasze jedzenie. Nic innego nie można było stamtąd wzieść.

Po drodze otrzymywaliśmy też czarną kawę. Ale nasz pociąg przystawał też w innych miejscach, co uważam za zjawisko bardzo ciekawe. Przecież - jak już powiedziałem - jechaliśmy przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Ktoś może postawić pytanie: a co z chorymi ludźmi? Przecież podróżowali ludzie tacy wycieńczeni. Jechały też chore dzieci. Byli też i niedołążni starszuszki. I nie tylko ich wiek wzywał na tamten świat. Istotnym zagrożeniem dla ich życia było wycieńczenie. Przecież w tych warunkach przez te czterdzieści dni i nocy ktoś musiał umierać. Pytanie: gdzie ich grzebać?

A no właśnie. Nasz transport co jakiś czas zatrzymywał się. W czasie takiego postoju odbywała się kontrola sanitarna. Przeprowadzali ją oczywiście Rosjanie. Przeprowadzali tę czynność "wagon w wagon" przeglądając i sprawdzając, czy

ktoś nie umarł. Zdarzały się i takie wypadki, że przez cztery czy pięć dni wieziono trupa. Było to zarzewiem licznych zatargów sąsiedzkich w wagonach. Buntowali się współpasażerowie. W takim trupem atmosfera była nie do wytrzymania. Stąd częste awantury.

Na czas przeglądu pociąg zatrzymywał się nad jakimś urwiskiem. I tam właśnie trzeba szukać grobów. Wydaje mi się, że nikt ich nie znajdzie. Zwłoki wyrzucano w pobliżu jakichś mokradeł albo w sąsiedztwie jakiejś rzeki. Przecież tory biegają przez różne miejsca.

Ciała wnoszono z wagonów za nogi i ręce i rzucono wprost w odkos. To tak właśnie grzebano ludzi w czasie naszego powrotu. Nie było tak, że dowożono zwłoki do miasta, aby zmarłemu sprawić godny pogrzeb. Zgrozą przejmuje fakt, że na oczach bliskich wyrzucano ciała w pobliżu torów. Tak wyglądała nasza droga powrotna. )

Przejeżdżaliśmy przez Moskwę, w której zatrzymaliśmy się na kilka dni. Przyczyną był zarządzony przegląd wagonów. Tam dano nam więcej zupy i innego jedzenia. Jakoś tu było inaczej, jakoś tak - jak się to mówi - doszykowano. Nie wiem czy ta sprawa nie miała podtekstu politycznego. Zgłosiły się do nas nawet panie w czepkach, przypominające swoim strojem nasze pielęgniarki. Pytały nawet, czy ktoś jest chory i proponowały lekarstwa. Ale to dopiero w Moskwie był jeden taki punkt sanitarny: może ktoś źle się czuje, może komuś potrzebne lekarstwo.

W Brześciu czekała nas tak zwana "piregruzka": przeładunek z wagonów szerokotorowych do naszych - normalnotorowych. Ale i te wagony były też nieciekawe. Niektóre były w



ogóle otwarte. Ale mimo wszystko tu było jednak jakoś inaczej. Tymi wagonami dotarliśmy do Warszawy. Pociąg zatrzymał się na dworcu Warszawa Zachodnia.

Teraz trzeba było tych repatriantów gdzieś w Polsce umieścić. Lansowano propozycję osiedlania się na ziemiach odzyskanych: cały pas wzdłuż granicy zachodniej oraz koszalińskie i olsztyńskie. Niektórzy, ci którzy poszli na front, byli w kontakcie ze swoimi rodzinami, które jeszcze przebywały na Syberii, już mieli miejsca, dokąd ich rodziny miały przyjechać. Wcześniej zajmowali opuszczone gospodarstwa. Te rodziny wiedziały, dokąd one jadą. Wiedziały, że tam czeka ojciec czy syn.

Tak więc prawie każdy miał gdzie jechać. A my - po śmierci ojca - nie mieliśmy dokąd. Mieliśmy tylko tę jedną ciotkę w Kopisku. Ojciec zginął. Mama już opłakała już najstarszego brata. Jak się później miało okazać, przeżył i został w wojsku. Był przez jakiś czas w Kraśniku w stopniu oficerskim. Zygmunt - drugi brat - jak już wspominałem, dotarł z Bydgoszczy do Kopiska do ciotki. Ale myśmy o tym wówczas nie wiedzieli.

Moja mama była zrozpaczona. Mówiła: byliśmy na Syberii u Sowietów - już nas chyba nic nie zaskoczy. Jedźmy na Niemcy. Może Niemiec będzie lepszy. Przecież już chyba i tej Polski nie ma.

Większość ludzi z naszego transportu pojechało na zachód. A jakieś może sto rodziny zostało na peronie z tobozami. Wśród tych ludzi byliśmy i my, bo siostra zdołała jakoś przekonać mamę, że nie mamy po co jechać na zachód. Po kilku godzinach przyjechały ciężarówki i nas stamtąd

zabrały. Przewieziono nas do budynku znajdującego się przy Alejach Jerozolimskich. W tym domu znajdował się Państwowy Urząd Repatriacyjny. Tam znajdowało się obszerne pomieszczenie - chyba wcześniej była tam sala gimnastyczna, na której były zbudowane prycze.

Przebywając tu wkrótce otrzymaliśmy paczki żywnościowe, otrzymaliśmy też odzież. Ale tego było mało. Dokonano przeglądu sanitarnego. Pamiętam, jak gdyby to było dziś, gdy krzyczeliśmy - nie tylko ja i mój brat, ale i inni - ponieważ smarowano nas od swierzbu. Znalazła się też jakaś opieka sanitarna.

Opiekowały się nami przede wszystkim zakonnice. Tu dysponowano odżywkami i witaminami. Były też lekarstwa. To stać dawano znać rodzinom, że jesteśmy tu. Panował tu spory ruch, bo ciągle albo ktoś przyjeżdżał albo ktoś odjeżdżał. Ale myśmy jeszcze nie mieli kontaktu. Siostra napisała list do Kopiska. Czekaliśmy chyba z dziesięć dni, ale odpowiedzi nie było. W czasie oczekiwania brakowało nam jedzenia. Mama brała wówczas mnie i brata za rękę i chodziła na żebry. Chodziła po prośbie do tych warszawiaków, którzy już wrócili do miasta, mieli za sobą trudne koleje wojennych losów i sami mieli mało. Ale dzielili się z nami ostatkiem tego, co mieli. Byli gotowi podzielić się wszystkim zwłaszcza wówczas gdy dowiedzieli się, że mamy za sobą pobyt na Syberii. Zresztą nie mieli wątpliwości: wyglądaliśmy bardzo nędznie i nic nie mieliśmy. Mama chodziła też do kościoła. Wówczas pierwszy raz zobaczyłem kościół. Pierwszy raz zakonnica poczęstowała mnie cukierkami. Pierwszy raz jadłem cukierek i pierwszy raz czułem jego smak. To były jakieś cukierki

swojej roboty. Pamiętam, że pachniały krochmalem i cukrem. Myślę, że efektem późnego zetknięcia się z cukierkami jest to, że dotychczas mam zdrowe zęby.

A ludzie nam dawali - zwłaszcza jedzenie, bo o to nam chodziło. Po jakimś czasie - ponieważ mieliśmy dokument świadczący o tym, że jesteśmy repatriantami - przyjechaliśmy do Białegostoku. Już nazajutrz - było to 24-go kwietnia - mama się zarejestrowała. I taki dokument - wystawiony w tym dniu - kartę repatriacyjną - posiadamy do dziś. Wówczas ze stacji - samochodem ciężarowym przewieziono nas do urzędu repatriacyjnego. Mieścił się on niedaleko mojego miejsca zamieszkania. Obecnie mieszkam bowiem przy ulicy Żabiej - a nas przewieziono do Punktu repatriacyjnego przy ulicy Waryńskiego. Budynek, w którym ten urząd wówczas się mieścił - istnieje do dziś. Wyglądał wówczas nieco inaczej: był z cegły i odrapany. Obecnie posiada elewację.

Gdy tu się znaleźliśmy - siostra ponownie napisała do Kopiska list, w którym informowała, że wróciliśmy i że prosimy o kontakt z nami, bo nie mamy dokąd się udać. W tym liście nie napisała ani słowem o śmierci ojca. Zresztą mama trzymała to w tajemnicy. Oczywiście tajemnica nie dotyczyła siostry. Nie mówiła o śmierci ojca obcym ludziom. Trudno mi powiedzieć, czym się w tym momencie mama kierowała. Prawdopodobnie uważała, że fakt iż ojciec żyje będzie wzmacniał mamy pozycję wobec ~~nas~~ sąsiadów. Mama też uważała, że zachowując w tajemnicy śmierć ojca nie stawia sobie w roli człowieka samotnego.

Czasy były w ~~tych~~ ~~tych~~ tamtych latach niespokojne.



Do domu przychodzili zarówno "chłopcy z lasu" jak i z UB-  
Obowiązywała terminologia: partyzanci i ubowcy. Często czło-  
wiek nie wiedział - z kim rozmawia. Właśnie w kontekście  
takich zdarzeń wolą zatrzymać w tajemnicy śmierć ojca.  
Lepiej było mówić, że mąż jest gdzieś w wojsku, że za jakiś  
czas wróci.

Fakty, o których teraz mówię, pamiętam z autopsji, a nie  
z opowiadań starszych. Byłem już wówczas, w pierwszych la-  
tach powojennych na tyle duży, że już kojarzyłem pewne fak-  
ty i wiele już rozumiałem z życia dorosłych. Pamiętam to  
także i dlatego, że do tego często się powracało, przy każ-  
dej okazji: przy każdej uroczystości, przy każdej wigilii  
czy przy każdej choince. Wracaliśmy w rozmowach do tych  
faktów w formie wspomnień, tragicznych wspomnień, które do  
dziś budzą grozę i wyciskają łzy.

Pamiętam - było to pierwszego maja 1946-go roku, kiedy  
to przyjechał mój brat cioteczny - syn mojej ciotki -  
Henryk Szymański. Przyjechał wozem żelaznym to znaczy ta-  
kim, który był na drewnianych kołach obitych żelaznymi o-  
bręczami. Pamiętam, że na tym wozie były drabiny, a wewnątrz  
tych drabin tak zwane "półkoszki" plecione. Na wozie było  
siano. Na ten wóz załadowaliśmy nasz toboł. Mieliśmy już  
trochę więcej rzeczy, bo pamiętam, że mieliśmy i naczynia.  
Mieliśmy to od ludzi w Warszawie oraz od ludzi w Białym-  
stoku. Bo tu, w Białymstoku, mama chodziła do kościoła św.  
Rocha, do księży, którzy nie odmówili pomocy. Z kościoła o-  
trzymaaliśmy pomoc w jedzeniu i w ubraniu. Tak więc, gdy tra-  
fililiśmy do Kopiska - to już nie wyglądaliśmy tak, jak łach-  
many na Syberii. Dziwna rzecz: był to rok 1946-ty. Tuż po woj-

nie była straszna bieda, ale i ludzie byli jacyś inni. Ja w tym czasie miałem inne ubranie piękne. Jakie piękne miałem buciki, wprawdzie "pepegi" białe sznurowane. Miałem skarpety, czapkę śliczną, sweterki. To wszystko dostaliśmy z kocią, ale także i od ludzi. Bo tu mama także chodziła na żelazny. Mówiła, że nie ma się czego wstydzić.

Kopisk, w którym mieszkała ciotka, znajduje się w odległości dwudziestu kilometrów od Białegostoku. To było, jak mówiłem - pierwszego maja. Ale list, który skierowaliśmy tam zaszedł znacznie wcześniej. I dlatego cała wieś wiedziała, że Ozarnecka wróciła z dziećmi. Wszyscy byli tym zaskoczeni, bo nie było jej sześć lat. Nie wiadomo gdzie była, podobno na Syberii.

Myśmy jechali do Kopiska tym wozem żelazniakiem. Jechaliśmy w atmosferze takiej radości, jakby do ślubu jakiego. Cieszyliśmy się, że jesteśmy u siebie, w Polsce. Akurat trafiliśmy na moment, kiedy odbywało się nabożeństwo majowe. Odprawiała je sama ludność, bez księdza. Na skraju tej wsi stoją trzy krzyże. Przy wjeździe jest rozgałęzienie dróg w trzech kierunkach. W pobliżu stał stary dom. Pamiętam, że należał do państwa Pietrzeniaków. I te krzyże stały na tle tego domu. Były ogrodzone sztachetkami. Był też obraz Matki Boskiej / figura /, okolona wiankami z kwiatów. Pamiętam, że były tam kaczenie.

Wieś Kopisk jest otoczona lasami dokładnie ze wszystkich stron. Od lasu do wsi jest przestrzeń długości około 500 - 600 metrów, do miejsca, w którym odbywało się nabożeństwo. Nie zaczynało jeszcze modlitw, bo czekali na nasz powrót. I wszyscy ludzie - cała wieś - ruszyli nam na spot-

kanie. Widząc to moja mama była w pewnym momencie zaniepokojona: co to może znaczyć tak duża ilość ludzi idąca nam na przeciw. W rezultacie nie dojechaliśmy do wsi tym wozem, bo zgromadzeni ludzie nas tam przynieśli. Pamiętam, że moja mama leżała krzyżem pod tymi trzema krzyżami. Tak samo moje siostry, a ja klęczałam i mówiłam pacierz, bo ja już umiałem pacierz na pamięć. Także jeszcze na Syberii nauczyłem się podstaw katechizmu.

Po nabożeństwie rozmowom nie było końca. Miejscowi pybali, skąd my wracamy. Z kolei my byliśmy ciekawi, co tu u nas się dzieje. W tym czasie w Polsce panował rozgardiasz polityczny, w którym, nowoprzybyli nie orientowaliśmy się zupełnie. Trwał przecież proces zawiązywania się tej "nowej" władzy.

Po przyjeździe przygarnęła nas do swego mieszkania nasza ciotka. W Kopisku nie byliśmy długo. Tam właśnie zacząłem chodzić do szkoły, o czym już wspominałem. Tam skończyłem szkołę podstawową, a następnie zacząłem uczęszczać do liceum pedagogicznego w Białymstoku. Podobnie zrobił mój brat. Jedna z sióstr wyszła za mąż. Brat Franciszek został w wojsku do końca aż do przejścia do rezerwy. Drugi brat - Zygmunt ożenił się. I tak jest do dziś w tym sensie, że jesteśmy w rozsypce.

Ale jest pewien wyjątek. Bardzo blisko mam swojego brata. Z balkonu widzę jego dom /blok/. Jest tak, że chodzimy do jednego śmietnika wyrzucać śmieci. Chociaż z zapisu adresu tego nie widać, bo on mieszka przy Alei /J. Piłsudskiego/ a ja przy ulicy Żabiej. W sensie przestrzennym dzieli nas kilka dużych drzew. Tak się jakoś złożyło, chociaż w różnym



czasie otrzymywaliśmy nasze mieszkania. Wielokrotnie zmieniłem mieszkanie / ul. Tuwima, Ostrowskiego/. W tym mieszkaniu mieszkam już dziewiąty rok. Tak więc los pokierował w ten sposób, że dwaj najmłodszy bracia zostali bardzo bliskimi sąsiadami.

Gdy tak patrzę na swoją syberyjską przeszłość to dochodzę do wniosku, że trzeba by powiedzieć na ten temat coś przyjemnego, bo nie warto patrzeć na to tylko pesymistycznie. No cóż - jak jest, tak jest. Nie wiem, czy to los szczęścia, czy może Bóg, czy może Hojra /przeznaczenie/ dało to, że jestem w Polsce. Miałem przecież ogromne szczęście, że mnie niedźwiedź nie rozszarpał, żmija nie ukąsiła, że nie utonąłem w bagnie i że mnie meszka nie zjadła. Cieszę się, że mnie <sup>nie</sup> zrusyfikowano i że nie umarłem z głodu ani z jakiejś choroby.

Był nad nami jakiś ratunek. Bo przecież te wszystkie nieszczęścia mogły na mnie spaść. Mam przecież świadomość tego, że stamtąd wrócili tylko nieliczni. A nam się jakoś powiodło.

Z Syberii zapamiętałem piękno przyrody, co tylko z pozoru może wydawać się dziwne, że w takich warunkach mogłem myśleć o tym. Ale to jest w zupełności logiczne, bo dziecko przecież nie analizuje sytuacji społecznej czy politycznej. Mnie, w moim wieku interesowało przede wszystkim, aby się pobawić, porzucać kamieniami, wykąpać się czy bawić się w jakiś inny sposób.

Ale teraz muszę powiedzieć, że mój pobyt na Syberii teraz mi "wychodzi". Po odbiło się na moim zdrowiu. Przecież to nie jest przypadkiem, że w wieku trzydziestu ośmiu lat stałem się rencistą

Wcześniej pracowałem w zawodzie nauczycielskim jako nauczyciel, a później jako kierownik szkoły, a następnie jako dyrektor szkoły. A kiedy już w ogóle nie mogłem rozmawiać, posługiwałem się na piśmie. Chorowałem na krtań, gdyż na strunach głosowych miałem dwie narośle.

Trafiłem do kliniki otolaryngologicznej. Przeprowadzono mi operację, której dokonał jeszcze wówczas pracujący doktor Ha<sup>v</sup>smann. Operacja udała się. Bardzo szybko powróciłem do zdrowia. Odzyskałem głos. Obecnie mogę nie tylko rozmawiać, ale i zaśpiewać. Kiedyś mówiono nawet, że mam talent w tym kierunku. Po operacji poszedłem na roczny urlop zdrowotny, nauczycielski. Taki urlop jest przedłużany co trzy miesiące aż do roku. Po rocznym urlopie skierowano mnie na komisję do spraw inwalidztwa.

Jeszcze przed chorobą złożyłem podanie do wydziału oświaty z prośbą, aby mnie zwolniono z funkcji kierowniczych, gdyż bardzo często chorowałem na i na żołądek i na krtań. Podkreślam: nikt mnie nie wyrzucał ani nie nakazywał, ja sam o to prosiłem. Zwracałem się z prośbą do inspektora Trybalskiego / jeszcze żyje/, aby wyraził zgodę na moje odejście, bo stan zdrowia nie pozwala mi dalej sprawować dotychczasowej funkcji. Przez dwa lata pracowałem w drugim liceum ogólnokształcącym w Białymstoku przy ulicy Narewskiej. Wówczas dyrektorem tej szkoły był pan Teofil Jaworowski.

Po rocznym urlopie komisja do spraw inwalidztwa dała mi od razu aż drugą grupę. Ale do dziś zastanawiam się, dlaczego komisja lekarska orzekła mi to inwalidztwo z ogólnego stanu zdrowia, a nie choroby zawodowej. A po za tym znalazłem się w klinice na oddziale nerwic. To nie była jakaś cho-

roba psychiczna lecz sprawy nerwicowe. Mają one związek ze zwyrodnieniem kręgosłupa, a szczególnie kręgów szyjnych i lędźwiowych. Odezwały się żyłaki, bo przecież jako małe dziecko musiałem chodzić po szesnastu kilometrach w jedną i drugą stronę. A i tu, w Polsce, też dużo chodziłem: a to na grzyby a to na jagody, musiałem też pomagać mamie. Do tego doszła jeszcze resekcja żołądka. Ale nie wycięto mi żadnej części tego organu, to była tylko tak zwana chyba poloperapja /?/. Było to tak zwane "cerowanie". A to narzucało obowiązek zachowania ścisłej diety.

Od stycznia ubiegłego roku - wkrótce będzie już dwa lata jestem rencistą pierwszej grupy i wymagam opieki drugiej osoby. Obecnie - razem z dodatkiem pielęgnacyjnym, a obecnie wynosi on 185 tysięcy złotych - jeden milion trzysta tysięcy czterysta złotych. A trzeba pamiętać, że ja mieszkam sam. Wszystko więc rozkłada się na jedną tylko moją pensję. Jak widać, podstawowe urządzenia mam: telewizor, telefon i podstawowy sprzęt gospodarstwa domowego. Żyję bardzo skromnie. Prawie nigdy nie wydzierpuję limitu rozmów telefonicznych. Niektórzy mówią, że można zrezygnować z telewizora - ale oni chyba tylko tak myślą.

Kiedy tak zestawie wszystkie niezbędne wydatki i moje dochody - to aby to jakoś zbilansować - to naprawdę trzeba mieć trochę "głowy".

Tu powinienem się pochwalić. Jestem trochę z postawy taki "babski chłop". W tej chwili mam całą piwnicę przetworów: około sześciuset słoików i butelek wszystkiego, co na polach rośnie i co tylko może być na rynku. Wszystko to jest robione w rozmaity sposób. Są tu wszelkie warzywa i



grzyby, które sam zbieram. Gdy się lecę, to fizycznie jestem dość sprawny. Chodziłem też na zbiór porzeczek, w rezultacie tego miałem porzeczeki za darmo. Zarobiłem, że mnie cukier nie kosztuje na przetwory.

Jeśli chodzi o stosunek NKWD do miejscowych mieszkańców i do nas - Polaków - to były to podtawy zdecydowanie odmienne. Myśmy byli pod ciągłym prężaniem: pilnowano nas na każdym kroku. Nie mogliśmy poruszać się tak, jak kto tam chciał. Droga były w zasadzie jedna: do tajgi, aby zebrać to, co przyroda urodziła i na pola kolchozowe. A zresztą dokąd tam było jechać i po co?

Przeprowadzano kontrole pod kątem, czy ktoś nie uciekł czy uciekł. Trzeba było w razie potrzeby udokumentować lub też przedstawić świadków, że ktoś zmarł i został pogrzebany, że nie uciekł.

Zorganizowano klub polski, który też był ściśle kontrolowany. Tam nie mogło paść słowo o Polsce. Pamiętam, że nauczycielki pisały specjalne sztuki / sztuczki/, w których brała udział moja siostra, grała Matkę Boską. Potem, w ostatnich właściwie latach - zwłaszcza w 1945-ty, to ten ruch nabrał rumieńców. Ale przecież nigdy nie było tak, aby na sali nie było NKWD-ystów. Gdyby padło jakieś słowo nieprawomyślne, to natychmiast byłoby dochodzenie połączone nawet z biciem.

Przed samym wyjazdem jedna z nauczycielek miała niemałe przejścia za wystawienie sztuki, którą ona napisała, bo ta sztuka pachniała Polską. Sugerowano nam, że jeśli już mają być piosenki czy tańce - tylko rosyjskie. A tu nam chciało się zatańczyć a) kujawiaka, a) oberka czy nawet mazu-

ra. Tak więc to było ściśle kontrolowane. Nie można było nic powiedzieć ani na Armię Czerwoną, ani na Stalina ani na radziecki rząd. Niech Bóg broni. Tam za słowo można było nawet tam nie być. Czyli nigdzie już nie być. Bo i takie sytuacje nawet były.

Na koniec chcę ~~napiisać~~<sup>odczytać</sup> swój wiersz, napisany jako wspomnienie powrotu.

Mknie pociąg przez lasy i gaje  
i iskry sypie z komina  
a serce z bólu się kraje  
czy ono czy pociąg się zatrzyma.

przed mymi oczyma tysiące gwiazd na niebie się roi  
czuję, jak matki ręce drżące  
głowę do piersi tulą  
ona się boi.

Do kraju jadę ojczystego  
wyznała mi o tym matka  
wgnano ciebie z niego,  
gdy miałeś dopiero dwa latka.

W pociągu tak czas się dłuży  
pytam, czy to już polskie sioła  
nie synku, trwaj w tej podróży  
głos drżący matki woła.

Widzę przez lasy i wioski i pola  
Irkuck, Uzelabińsk, Moskwę  
a w sercu coś płacze i woła  
pokaż mi moją ziemię - Polskę.

A pociąg z łoskotem wciąż bieży i bieży  
i wiezie przez kraj mi nieznany  
a w każdej chwili krajobraz świeży  
to lasy, to Uralu ściany.

Z dala ujrzałem Wołgę - potęgę  
deseczki, zeszyty piastkami chwyciłem  
wrzuciłem to szczęście w jej wody wstęgę  
i gorzko, serdecznie się rozplakałem.

Żegnaj kraju dziecięcy,  
żegnajcie podli, kochani  
was nie zobaczę już więcej  
Bóg zapłać za wszystko - Bóg z wami.

Brześć - ktoś tam zawoła  
witaj Ojczyzno - Polsko kochana  
powraca do twego sioła  
działwa przez ciebie czekana.

Notował: <sup>Jan Sianko</sup> S. Sianko.